



## Zbigniew Skoczylas

część I z IV

Sygnatura notacji: **N0005**

Data urodzenia: **02.08.1928 r.**

Data nagrania: **13–14.11.2006 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Anna T. Pietraszek**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 59 min, część III: 49 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 48 min**

Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Zbigniew Skoczylas:** Nic nie zapowiadało tego, że będę w swoim życiu spadochroniarzem, pletwonurkiem, że się będę wspinał w Tatrach, w Alpach, w Himalajach. Jako dziecko byłem bardzo chorowity. Taki pan doktor Skibelski, nasz lekarz rodzinny, w pewnym momencie machnął ręką już na mnie i powiedział mamie, że trzeba spróbować takiej metody, że albo wyżyje i będzie dobrze, albo no chyba nie wyżyje. No i wtedy mama z jego polecenia zabrała mnie do Szczyrku, który był potworną dziurą. Składał się ze Szczyrku Dolnego i Szczyrku Górnego. Do Dolnego Szczyrku dojeżdżał autobus, a do Górnego to właściwie nawet drogi porządnej nie było i jechało się furką. No i tam mieszkaliśmy u państwa Łaciaków, a obok płynęła Żylica, taki górski potok i mama pierwszego dnia pobytu, rano, wyciągnęła mnie z łóżka o 6:00 poszła ze mną nad tę Żylicę i wrzuciła mnie do takiego plesa przy jazie. No więc wylazłem, wytarła mnie i wróciłem do domu. I tak chodziła, wrzucała mnie przez tydzień, a po tygodniu, przez następne dwa miesiące, no sześć tygodni, bo to wakacje były, ja już chodziłem sam i skakałem sam do tej wody. No i od tego czasu właściwie już nigdy nie chorowałem. Do dnia dzisiejszego żadnej. No oczywiście miałem połamane nogi, zdarzyła się ręka, obojczyk, ale chorób jakichś takich nie było. Dom był zresztą u nas ciekawy. Tata był legionistą, żołnierzem pierwszej godziny. Uciekł z domu mając 14 lat w 1914 roku. No i przewojował z legionami aż do kryzysu przysięgowego. Potem go jako poddanego austriackiego zahaczyła Austria, pojechał na front włoski, wrócił stamtąd i na froncie polsko-bolszewickim do końca wojny w 1921 roku przeniósł się z wojska do cywila, a potem został funkcjonariuszem Policji Państwowej. I dom był zawsze pełny kolegów ojca, legionistów, którzy się strasznie spierali o różne rzeczy tam. Były ostre antagonizmy między tymi, którzy byli w Pierwszej Brygadzie i w Drugiej Brygadzie, a potem między tymi, którzy poparli przewrót majowy i którzy w przewrocie majowym występowali po przeciwnej stronie – rządowej. A ojciec był legionistą, związany mocno z Piłsudskim i jeździł na wszystkie zjazdy legionistów.

I od 1934 roku zabierał mnie na te wszystkie zjazdy, które odbywały się w różnych miejscach, ale dwu czy trzykrotnie w Krakowie. To był zawsze wieczór poprzedzający ten oficjalny zjazd, gdzie się tego popijało, gdzie trwały dyskusje i spory. No i potem był drugi, ten oficjalny dzień, w czasie którego odbywała się defilada pocztów sztandarowych i stanu osobowego pułków legionowych przed wszystkimi oficjelami. Bywali tam wszyscy. Marszałka pamiętam tylko... Nie pamiętam go ze zjazdu legionowego z 1934 roku, ale marszałka pamiętam z pobytu w Warszawie w 1932 roku i widziałem go. Nawet marszałek się zatrzymał, bo ojciec był w mundurze policyjnym, ale miał na piersi krzyż niepodległościowy. Marszałek się zatrzymał: „Byliście w Legionach?”. To pamiętam jak dziś i to właśnie stałem przed marszałkiem dosłownie nos w nos. Ale ten ostatni zjazd legionowy w 1939 roku był w Krakowie. I wtedy były ostre zatargi, bo chodziło o to, że właściwie ta tak zwana szara brać legionowa uważała, że marszałkiem Polski powinien być zostać generał Sosnkowski, szef sztabu Pierwszej Brygady Legionów, ksywa „Szeł”, a został nim Rydz-Śmigły. No i tam się wtedy strasznie buntowano, że to trzeba przeciwko temu zaprotestować. Były takie propozycje, że w czasie defilady następnego dnia poczty sztandarowe miały podchodzić pod trybuny i potem wznosić okrzyk przed trybuną „Do dupy z Rydzem”, dosłownie tak to było. Tak to były te głosy. To były w namiotach takie popijawy, piękne urządzone. I wtedy przyjechał Sosnkowski, to już było późno w nocy, koło 11:00 w nocy i tłumaczył tym podpitym legunom, że chłopcy tak nie można, to tak nie wolno. No i zdecydowano, że będzie defilada, nie będzie okrzyku, ale oni poczty sztandarowe, przechodząc przed trybuną nie będą pochylać sztandarów, tylko na sztorc sztandar przejdą. Urodziłem się 2 sierpnia 1928 roku w Białej Krakowskiej, dzisiaj się to nazywa Bielsko-Biała i Podbeskidzie, a wtedy to się nazywała Biała-Krakowska, a obok było Bielsko. Oba miasta dzieliła rzeczka, Białka, wyjątkowo smrodliwa, bo to wszystkie zakłady przemysłowe spuszczały tam swoje ścieki, Bielsko to było przecież zagłębie włókiennicze i mieszkaliśmy tam do chwili, kiedy się usamodzielniliśmy po wojnie do 1951 roku. Rodzice pozostali w Bielsku, staruszkowie leżą na cmentarzu w Bielsku-Białej. Wojnę przemieszkaliśmy właśnie też tam, od 1943 roku szkopy mnie pogoniły do pracy, co sobie bardzo cenię, bo pracowałem jako tak zwany hilfsschlusser, ślusarz pomocniczy z prawdziwymi, autentycznymi, w drugim pokoleniu robotnikami polskimi i niemieckimi. Z tym, że to byli świetni ślusarze, tokarze, frezery, wysokiej klasy specjaliści. W swoim zawodzie nie było różnicy, tak samo był ceniony ślusarz czy tokarz Polak, jak ślusarz czy tokarz niemiecki, ba, mało, to była fabryka, w której wyrabiano różne akcesoria dla kolejnictwa, więc te haki do mocowania szyn, złączki szynowe, a poza tym cały asortyment różnych śrub. Formy do wykuwania tych haków mocujących szyny wymieniano w tych prasownicach raz w miesiącu i jeden, jedyny człowiek takie formy potrafił wykonać. To był polski ślusarz, Olens się on nazywał. I Olens miał tylko jedno zadanie, w każdym miesiącu wyrobić jedną taką formę do sztanowania i więcej nic nie robił. To mu zajmowało, gdyby tak się na serio chciał tym zajmować, tydzień czasu, on to z namaszczeniem wykonywał przez cały miesiąc. No bo tam w 1945 roku, w lutym, towarzysze radzieccy w ramach wielkiej ofensywy styczniowej podeszli pod Śląsk. W Bielsku nie było wielkich walk. To właściwie trwało jeden lub dwa dni, taka strzelanina na ulicach, Niemcy odchodzili stosunkowo szybko. Natomiast towarzysze radzieccy mieli co grabić, bo tam populacja niemiecka była liczna. 50% mieszkańców to byli jednak Niemcy. Wszystko to uciekło i to byli stosunkowo bogaci i zasobni ludzie. Rozgrabiono to wszystko bardzo dokładnie. No i potem już zaczęła się Polska Ludowa.

**Anna Pietraszek: Ale wróćmy jeszcze do tej trybuny, co marszałka widziałeś z bliska, a potem były właśnie, że wybrano nie tego, tylko Rydza i ten moment, żeśmy zrobili przerwę akurat. To przypomnij, ile możesz, do wojny, co pamiętasz?**

**Zbigniew Skoczylas:** Ja przysypiałem wtedy już w tym namiocie. Pamiętam, że parę razy się budziłem, słuchałem tych zacieklej, ostrych dyskusji. Wymyślano sobie od ostatnich, ale to nie miało takiego charakteru, jaki dość często dzisiaj się spotyka w czasie tych różnych dyskursów politycznych, bo się spierano tak obywatelsko, ładnie. Kto ma rację i tego. Ale pamiętam, jak ostatni raz się obudziłem, to już Sosnkowski był właśnie w namiocie i tłumaczył całej tej wiarze, że chłopcy tak nie można, defilada ma się odbyć, jak Pan Bóg przykazał, pod trybuną żadnych głupich okrzyków. No więc zgodzono się na to z jednym zastrzeżeniem, że poczty podejść pod trybunę i pod trybuną sztandary nie zostaną w czasie przemarszu opuszczone, to znaczy nie będzie tego hołdu sztandaru przed oficjelaami. No i na tym się to skończyło. Ja zresztą byłem w czasie pogrzebu marszałka Piłsudskiego w Krakowie też z ojcem. Pamiętam ten fantastyczny pochód przedstawicieli duchowieństwa, wszystkich wyznań, korpusu dyplomatycznego. Przechodził koło nas w odległości dosłownie trzech metrów marszałek Petain, który reprezentował Francję, Herman Goering, wtedy w doskonałej formie fizycznej, z butawą marszałkowską w łapie. Było to bardzo uroczyste i bardzo godne. A w ogóle ta Rzeczpospolita II była ładnym państwem i ciekawym. Ojciec był policjantem. Były w latach 1932–35, odbywały się w całej Polsce bardzo ostre demonstracje. Ze zrozumiałych powodów. To był ten okres wielkiego kryzysu, było ogromne bezrobocie i to było bezrobocie autentyczne, nie kryte, tak jak w tej chwili, że powiedzmy mówimy, że mamy 2,5 miliona bezrobotnych, a jak przychodzi co do czegoś, okazuje się, że nie ma ludzi do pracy, bo nikt za te pieniądze pracować nie będzie. Ogromna większość tych pseudo-bezrobotnych przecież wiadomo zatrudnia się w szarej strefie i zupełnie nieźle im się powodzi. Natomiast te masy bezrobotnych w okresie II Rzeczypospolitej to była rzeczywiście tragedia, bo tam nie było co jeść. Ja pamiętam państwa Szorów, którzy mieszkali w tym samym domu, w którym myśmy mieszkali, no to tam głodowano regularnie i to tak, że sąsiedzi znosili się, zbierali się i pomagali przeżyć. Więc demonstracja wtedy bezrobotnych to były bardzo poważne rzeczy. Policja z reguły strzelała. Pamiętam te... Ojciec był w takim plutonie interwencyjnym, rodzajem powiedzmy ZOMO, czy naszych w tej chwili jednostek prewencji i bez przerwy wyjeżdżał na ten. My mieliśmy dokładne relacje z bratem, bośmy się temu bardzo dokładnie przysłuchiwali jak to było. Pamiętam ten udział ojca w takich demonstracjach w Krakowie, gdzie było kilkanaście trupów, kilkadziesiąt osób rannych w Chrzanowie, gdzie doszło do formalnej bitwy z bezrobotnymi. Tam akurat kanalizację budowano, więc wykorzystano te rowy kanalizacyjne jako okopy i bito się przez dwa dni. We Lwowie ogromny strajk chłopski w Małopolsce, zabici policjanci, duża ilość zabitych chłopów. To były ciężkie czasy, ciężkie czasy, które wynikały z tego, że Polska była biednym krajem. Na to się nałożył ogromny kryzys, ale gdzieś od roku 1935 robiło się coraz lepiej. Rzeczywiście zmalało bezrobocie, nadchodząca wojna nakręcała koniunkturę. W tym 1939 roku to entuzjazm szarych ludzi, zwyczajnych obywateli, ofiarność była ogromna. Wszyscy byli przekonani, że my tę wojnę wygramy, Niemców pobijemy i że nie ma się tu nad czym... Pamiętam, przez radio słuchałem takiego, to było tutaj chyba pod Chorzalami, nad samej granicy było nagrywane, mówił sołtys takiej wioski, nie pamiętam w tej chwili, ale pamiętam dokładnie treść tej jego wypowiedzi, bo po drugiej stronie były okopy niemieckie, zasieki i pytał się ten reporter, czy się nie boicie wojny. „Czy się nie boicie wojny?”. „Nie, nie boimy się, bo nasza sprawa jest słuszna” – „Ale przecież zginą ludzie”, „A to nam baby urodzą drugich”. Taka była odpowiedź tego sołtysa, więc postawa była wspaniała. No to się załamało błyskawicznie to, ta wojna przebiegła w takim tempie, że pamiętam ten nastrój pierwszych dni października, to już było po tym, po upadku, nikt się nie mógł pozbierać, ludzie nie byli w stanie pojąć, co się stało. To była tragedia.

## **Anna Pietraszek: A gdzie ty byłeś wtedy?**

**Zbigniew Skoczylas:** Proszę?

## **Anna Pietraszek: Gdzie wtedy byłeś?**

**Zbigniew Skoczylas:** W Bielsku.

## **Anna Pietraszek: Jak to widziałeś swoimi oczami?**

**Zbigniew Skoczylas:** Pamiętam, 3 września rano, wybiegłem przed dom, ulicą odchodzili ostatni nasi żołnierze. Bili się tu na zachodniej stronie pod starym Bielskiem, ale to już takie grupki szły, po dwóch, po trzech, brudni, nieogoleni, niektórzy pokrwawieni w bandażach, taki kapral przechodził, ja się go zapytałem, co się dzieje, a on mi, wojna jest, wojna i poszedł dalej. I w pół godziny potem przyszli Niemcy. Odpicowani, odbiglowani, ogoleni, umyjni, maszerowali w kolumnie. To było, wiesz, straszne, ten odchodzący polski żołnierz, takie rozbitki zapóźnione i te kolumny Niemców walących. Potem widziałem, jak oni wracali, poprzez Bielsko wracała dywizja zmotoryzowana, nie, wracały elementy zmotoryzowane 5 Dywizji Pancерnej Niemieckiej spod Lwowa. No to wyglądało jak na defiladę. Wypoczęci, ale zaraz potem jechały dwa duże ciężarowe samochody z naszymi jeńcami. I wtedy publiczność polska wywalita się na ulicę, oni byli potwornie głodni, prosili o chleb. Zablokowali ulicę, no i co kto mógł, to nosił, proszę ciebie, ładował tam tym chłopakom. Niemcy się z początku próbowali szarpać, nawet grozili, że będą strzelać, ale nikt się tym nie przejmował. No i dopiero jak załadowali tych chłopaków wszystkim, no to te samochody ruszyły, proszę ciebie. No okupacja była ponura, tak była ponura, jak ją się przedstawia rzeczywiście. Właściwie do 1942 roku odczuwalna zmiana, bo tak to było nieprzerwane pasmo niemieckich sukcesów i zwycięstw. Nawet początkowy okres w wojnie radziecko-niemieckiej to też był jedno pasmo sukcesów, pamiętam, pierwszych jeńców rosyjskich, których wieziono w otwartych takich lorach węglowych, potwornie zabidzonych. Ale zaczęło się od Stalingradu, to już jak się zajął, po Stalingradzie już było wiadomo, że Niemcy wojnę przegrywają. I zaczęli to czuć sami Niemcy, bo tam właśnie z okolic Bielska spory odsetek Ślązaków służył u Rommla w Afryce Północnej. To był sławny dowcip śląski: „Hanys, gdzieś ty był w czasie wojny?”. „Ja? Ja służyłem w AK”. „Tyś był ciulu w AK? Tyś był w AK?”. „No, ja w Afrika Korps”. Więc to były takie... Dużo ich tam służyło. Pamiętam zresztą jak ó. Dywizja miała obóz w Izdebnej i tam na górze w Kubalance była świetna knajpa. Dawali pierwszorzędną golonkę. Kiedyś myśmy tam poszli, zamówiliśmy sobie tę golonkę. No, wiadomo, że pod golonkę trzeba się czegoś napić, więc zamówiliśmy sobie jeszcze jakiś zacny trunek. A przy sąsiednim stoliku siedzieli notable [istebniańscy], wójt, przewodniczący tej Gminnej Rady Narodowej i chyba sekretarz Gminnej Organizacji Partyjnej. I było tak ładnie. Jeden był w Afrika Korps u Rommla, jeden jako jeńiec trafił do jednostek Berlinga, a jeden był u Maczka. I wszyscy się spierali, który generał był najlepszy. Bardzo to było... Zresztą u Rommla ich sporo służyło. I zresztą duży ich procent trafił potem do Andersa, do 2. korpusu i z 2. korpusem wojował przeciwko Niemcom i dobrze się bili. Nie przechodzili na niemiecką stronę. No i tak to wyglądała ta wojna. Ale [cezurą] był Stalingrad. Wtedy już zapadło przekonanie, że Niemcy wojnę przegrali. To było ogromne. Fakt, że prawie 100 tysięcy Szkopów dostało się do sowieckiej niewoli, no to to było wydarzenie, które odczuli wszyscy na terenie całych Niemiec. Bo ze wszystkich rejonów Rzeszy Niemieckiej służyli w tej ó. armii Niemcy. I oni wszy-

szy, było 200 kilkadziesiąt tysięcy ludzi, 100 tysięcy dostało się do niewoli. Ponad 100 tysięcy poległo. Wróciło ich bardzo niewiele, około 9 tysięcy. Ale to było to zwycięstwo, które wszyscy odczuli. No i jeszcze potem już od 1942 roku zaczęli Rzeszę gruzować już dokładnie Anglicy i Amerykanie. I to było straszne. Ja z tą naszą firmą jeździłem po Niemczech, bo myśmy tam załatwiali różne sprawy, odbierali maszyny, takie rzeczy, więc trzeba było jeździć. Więc pamiętam jeszcze te Niemcy, bo od 1942 roku, od wiosny już pracowałem w tym zakładzie. Pamiętam te miasta niemieckie z tymi cudownymi starymi dzielnicami, starówkami. Były przepiękne miasta. My w Polsce, no może, ale to nie, żaden Kraków, Warszawa, to nie było to. To są takie stare miasta, jak jest stare miasto w Strasburgu, albo w Gandawie, albo w Brugii. Takie to były te stare miasta. I to zaczęto walić w tempie zupełnie niewiarygodnym. Te nocne naloty Brytyjczyków i dzienne naloty Amerykanów. Warszawa tak nie wyglądała w 1945 roku, jak niektóre śródmieścia niemieckie. Były potwornie zniszczone. No więc straty kultury europejskiej były niewiarygodne w tym wszystkim. Ale jednocześnie, no, przykro stwierdzić, ale wszyscy Polacy, którzy się temu przyglądali, którzy zresztą sami czasami obrywali nieźle w czasie tych nalotów, byli pełni radości, że teraz się właśnie tym Niemcom, to straszne uczucia i straszne postawy, ale tak naprawdę było. Tak naprawdę było. Nikt niczego nie żałował. Wszyscy uważali, że to się dzieje słusznie i że tak to wyglądać powinno. W tym, już znacznie później, jak się zastanawiałem nad tym, już jako oficer, bardzo często się mówi, że powiedzmy, no, Niemcy zbombardowali Warszawę, Niemcy zbombardowali Rotterdam, tam sławna rzeźba „Człowiek z wydartym sercem”. I że to właściwie zasadne było odpłacenie Niemcom w ten sam sposób. No tak, ale to jednak było nie całkiem tak, dlatego, że Warszawę rzeczywiście zbombardowano straszliwie 25 września, co doprowadziło natychmiast do kapitulacji, ale Warszawa się broniła. Miasto było broniące, linia frontu przebiegała obrzeżami zwartej zabudowy, no i chcąc zlikwidować opór na terenie Warszawy, no, trzeba ją było bombardować. Podobnie wyglądała sprawa w Rotterdamie, tam zresztą doszło do tragedii, dlatego, że zawiodła łączność pomiędzy ziemią, jednostkami niemieckimi, a pułkiem lotnictwa bombowego, to Hankle 111, 90 parę maszyn nadlatywało, i oni nie mogli ich powiadomić, że Holendrzy są skłonni skapitulować. I zaczęli bombardować, dwa dywizjony zrzuciły bomby, a trzeci się zorientował, że coś jest nie tak, bo z dołu strzelali masowo rakietami czerwonymi, próbując ich ostrzec, żeby nie rzucać, ale wybuchł gigantyczny, burza ogniowa, gigantyczny pożar, zresztą podobny jak w Hamburgu, jak w Dreźnie, jeszcze w trzech niemieckich miastach doszło do tego zjawiska burzy ogniowej, no i to właściwie było nie do opanowania. No jak się wojna skończyła, to odżyło harcerstwo, i myśmy z moim bratem już w 1946 roku w takim wędrownym obozie harcerskim trafili w Tatry. Bardzo się nam te Tatry spodobały, obóz był krótki, bo to było chyba dwa tygodnie, i myśmy ostatniego, w ostatnim tygodniu sierpnia, mieliśmy wracać do domu, bo 1 września zaczynała się szkoła, ja byłem wtedy, Adam był wtedy w liceum, a ja byłem w liceum pedagogicznym, postanowili jeszcze raz wrócić w Tatry, no i przyjechaliśmy w Tatry, pamiętam, jak gdzieś na Krupówkach poszliśmy do sklepu powroźniczego, kupiliśmy 40 metrów sznura do bielizny, no i tak wyposażeni udaliśmy się w góry. Poszliśmy, tak, poszliśmy nawet, nie pojechaliśmy, tylko poszliśmy do Kościeliskiej, Kościeliską do Pisanej, pod Pisaną rozbiliśmy sobie namiocik z trzech takich niemieckich płacht trójkątnych, tam myśmy się przespali, i potem wąwozem Kraków poszliśmy na Czerwone Wierchy. Na Czerwonych Wierchach, na Małofłaczniaku, nad Wielką Turnią, zeszliśmy ze ścieżki i zaczęliśmy takim żlebem schodzić w stronę Doliny Małej Łąki, i władowaliśmy się, na całe szczęście nie w prawą połać Wielkiej Turni, tylko w lewą połać Wielkiej Turni, i udało się nam ścianą zejść. Zupełnie niewiarygodnie jak oglądałem, aha, numer był jeszcze piękny, bo była mgła straszna i widać było, że się pogoda cwangli. No ale myśmy szli, szli na dole, baca, kwatercarz, który sprzedawał herbatę pod Giewontem, schodził z Giewontu i usłyszał nas w ścianie. I dał się, krzyczał, żebyśmy nie schodzili, bo się zabijemy. A myśmy

to olali. I zeszliśmy, cudem boskim. Aleśmy zeszli i następnego dnia rano spaliśmy na Małej Łące, w szałasie na sianie. Następnego dnia wylazłem z tego szałasu, stanąłem i na hali było 10 centymetrów śniegu, a cała Wielka Turnia była zasypana na gładko. Gdybyśmy byli, zostali w ścianie, no to byśmy byli tam, zostali, bo wtedy GOPR nie miał żadnych szans, żeby prowadzić akcje w ścianach. To było niemożliwe. GOPR albo czasem kogoś wyciągał od góry, a najczęściej to zbierał na dole. No i wtedy się zaczęło, zaczęło chodzenie po górach, które zresztą skończyło się członkostwem klubu wysokogórskiego w 1949, w 1950 roku. Obaj zostaliśmy członkami zwyczajnymi. No bo tam lata jeszcze chodziliśmy. No, Adam więcej i ostrzej, bo miał więcej czasu, bo studiował, a ja mniej, bo już siedziałem w wojsku i urwanie się w Tatry to nie była taka łatwa sprawa. Między innymi trzy razy się urywałem na rzekomy ślub. Jak się przyszło żenić po raz czwarty z Bogną, no to dowódca pułku oświadczył, że mi nie da urlopu, gdzie należało pięć dni urlopu małżeńskiego, bo już trzy razy się miałem ożenić, ani razu się nie ożeniłem. Wobec tego oszukuję i tym razem, no ale jakoś udało się przekonać, że to tym razem jest naprawdę. Chodziłem, wspinałem się z Tadkiem Strumiło głównie, Wojtkiem Kałmuśińskim, Jankiem Długoszem, a z całą plejadą zresztą innych ludzi też, z Adamem, z Heniem Bednarkiem, ale to były zupełnie inne czasy, inne góry i inne wspinanie, bo szczególnie po latach 50., w latach 50. i 60. to Tatry, taternictwo to był sposób na życie. To przesławne stwierdzenie, jeżeli ci góry przeszkadzają w studiach albo w pracy zawodowej, to rzuć pracę zawodową i góry. Z reguły spędzaliśmy, ci którzy, powiedzmy, studiowali, no to wiadomo trzy miesiące, lato się siedziało w Tatrach, no, co najmniej miesiąc w okolicach Bożego Narodzenia, no, potem sesja i Wielkanoc to się też, i tak się właściwie czas się rozkładał na czas między, z konieczności pobytem na dole gdzieś w jakiejś pracy i pobytem w górach. I to była przedziwna historia, dlatego że to, co się, to nie mogło uchodzić uwadze, dlatego że nastroje były zupełnie jednoznaczne. Całe to towarzystwo było w tak zdecydowanej opozycji w stosunku do tego, co sobą reprezentowała Polska Ludowa i dawało temu wyraz. Co tu dużo opowiadać, te przesławne piosenki, prawda, za Wilno, za Sybir, za Katyń, za Lwów, śpiewane chórem codziennie. No już nie mówiąc o już radosnych zupełnie historiach, hymn na cześć najjaśniejszego Pana, Hercegowina, wszystkie te rzeczy, ale i znacznie ostrzejsze rzeczy. Ja nie, no inna sprawa, jest jedna rzecz, która ratowała całe to środowisko, mianowicie w tej plejadzie osób przebijających się przez Tatry były dzieci prominentów. I to bardzo wysokich prominentów, bo obie Kliszkówny się wspinały, wspinała się Spychalska, wspinała się Basia Toruńczyk, w swoim czasie córka Toruńczyka, a to była nie lada też szychka, Ochabówny. Więc i to towarzystwo, no one się nie angażowały w jakiejś formie ostrych wypowiedzi, ale były cały czas tym wszystkim. Próby łapania kogokolwiek, raz tylko, znaczy, że mamy między sobą ludzi, którzy, no powiedzmy, przyglądają się temu środowisku, to nie było wątpliwości. Ale raz tylko był bezsporny dowód, jak przy zejściu z Wielkiej Galerii Cubryńskiej do Żlebu Mnichowego poleciał chłopak i spadł z Małej Galerii Cubryńskiej do Żlebu Mnichowego. To było w zimie, ale to jednak było 60 metrów lotu i zabił się.

### **Anna Pietraszek: W którym roku?**

**Zbigniew Skoczylas:** To musiały być lata gdzieś 1958–1959 i proszę ciebie, jak myśmy go pozbiali, bo myśmy go pozbiali, to wtedy w kieszeni znaleźliśmy legitymację inspektora Służby Bezpieczeństwa, Urzędu Bezpieczeństwa i zorientowaliśmy się, że nasz kolega był etatowym pracownikiem. Był jeszcze, tośmy wiedzieli wszyscy, bo on tego nie krył, Czerwiński z Wrocławia, który zresztą zginął, zeszli. To była niesamowita historia. Tuż po świętach, chyba 28. albo 29 grudnia, poszliśmy dużym zespołem na Mnicha, tak relaksowy, przez płytę postanowiliśmy wejść na Mnicha. No i chyba tramwaj był 12 czy 13-osobowy, płatanina sznurków, tam w ogóle pajęczyna u góry, jedni schodzili,

drudzy wchodzili. I jak ja wylazłem na górę, to widziałem jak od północnego zachodu idzie gigantyczny front pogody, taka jedna od lewa do prawa, cały horyzont zasłany czarną chmurą i to zapycha ostro w naszą stronę. Więc postanowiliśmy skończyć tę zabawę i prędko iść do domu, bo będzie niewesoło. I na progu Dolinki za Mnichem, jak my się zabierali do zejścia już het w dół, to spotkaliśmy Czerwińskiego z dziewczyną. To jest krótka wymiana zdań, gdzie, oni idą na Szpiglasową Przełęcz i chcą ze Szpiglasowej Przełęczy zejść do Pięciu Stawów i wrócić Doliną Roztoki do Morskiego Oka, bo na Sylwestra chcieli być w Morskim Oku. No, tośmy się pożegnali. Ja mu jeszcze powiedziałem: „Daj spokój, popatrz, widzisz, co się dzieje”. To już zaczynała kurniawa dochodzić do, wchodzić w Dolinę, wiesz, Rybiego Potoku. Jak myśmy zeszli na, ileż to mogło trwać, 15–20 minut, bo dupozjazdem myśmy załatwiali sprawę, może po 15–20 minutach, jak myśmy zeszli na jezioro, to już kurniawa była taka, że na 10 metrów nic nie było widać. No i wróciliśmy do schroniska. W schronisku o godzinie 8:00 wieczór ich nie było. No ale pogoda była coraz gorsza, trzęsło budą tak, że zdawało się, że dach polecą. No założyliśmy, że zostali w Pięciu Stawach. Łączności żadnej nie było, o telefonach się nikomu nie śniło, więc w radiotelefonach, więc postanowiliśmy się tym nie przejmować. Następnego dnia rano, następnego dnia czekaliśmy do chyba 12:00 czy 1:00 po południu, może do 3:00 nawet. I o 3:00 przyszedł Jasiu Chroboczek, nie Chrobak, tylko Chroboczek, właśnie z Pięciu Stawów. Ja się go pytam: „Janek, czy wczoraj przyszedł taki chłopak z dziewczyną?” „Nie, nikt nie przyszedł”. No, tośmy się zaniepokoiли. No i rada w radę, wtedy na dyżurze był Franek Spytek. Postanowiliśmy z Frankiem, że pójdziemy do Pięciu Stawów i rozejrzemy się. No i poszliśmy chyba w sześciu chłopaków. Więc z duszą na ramieniu wyłaziliśmy tu na próg Doliny Pięciu Stawów, bo było tak potwornie lawiniasto. Dalej kurzyło niesamowicie, przyszliśmy do schroniska, nie było go. No to postanowiliśmy, że nie ma rady, będziemy się windować. Nie wiedzieliśmy, co się.. Zakładaliśmy, że była taka możliwość, że ta kurniawa ich już złapała na Szpiglasowej Przełęczy i że mogli się bać chodzić ze Szpiglasowej Przełęczy do Pięciu Stawów wprost, że postanowili pójść granią od Szpiglasowego Wierchu do Gładkiej Przełęczy i zejść z Gładkiej Przełęczy, mniej niebezpiecznie. To głupio, ale taka możliwość. Więc postanowiliśmy wyleźć na Gładką Przełęcz, no i przetraversować w drugą stronę do Szpiglasowego Wierchu, ewentualnie zleźć ze Szpiglasowego Wierchu już na stronę Pięciu Stawów, ale z duszą na ramieniu, bo tam jest strasznie lawiniasto w taką pogodę. Poszliśmy, wyleźliśmy cudem boskim na tę Gładką Przełęcz, ale na Gładkiej Przełęczy to można się było tylko na kolanach utrzymać, żadnym chodzeniem, żadnym marszu. Wróciliśmy do schroniska i następnego dnia zdecydowaliśmy się rano, późno wrócili, bo to trwało, nim się to wszystko udało pozbiierać. Zresztą strasznie ciężko się szło, śniegu było tak, żeśmy się zapadali po pas prawie. Doszliśmy, postanowiliśmy zejść na dół. Jak wyszliśmy na próg, tośmy zobaczyli, że wisi taka gigantyczna, odstrzelona już deska, która się zaczyna pod turnią tutaj, proszę ciębie, tą po prawej stronie, na którą schodzi grań Żebro [z Marchwicznego], z Opalonego, no i sięga tu aż po Kopę, prawda. Strzelina już jest odstrzelona taka, miąższność tego chyba ze 2,5 metra, lada moment to wszystko gruchnie. No i spróbowaliśmy to strącić, ale doszliśmy do wniosku, że nie zejdziemy tam. Wróciliśmy do schroniska i po chwili usłyszeliśmy straszny huk, to właśnie wzięło i spadło. Wróciliśmy jeszcze raz, poszliśmy, zeszliśmy na dół, no i wtedy się okazało, że go nie ma, nie ma ich w ogóle. Więc jego znaleźli na wiosnę na stokach Kasprowego Wierchu w stronę Cichej, a ją znaleźli w Cichej w lesie. Oni zeszli, z niewiadomych powodów, zeszli na dół do Cichej i próbowali się tamtędy wydrapać na Kasprowy. Ona prawdopodobnie umarła z wyczerpania, a on próbował wychodzić i też się wykończył tam. No i tak się to skończyło. Ale wiedzieliśmy, że on był też funkcjonariuszem, on tego nie ukrywał. Zresztą też nikt specjalnie się tym nie przejmował, że on jest. Nigdy nie było żadnej sprawy, aż do przesłanego procesu Tatarników. Ale to była zupełnie inna historia.

**Anna Pietraszek: Ale przez te całe lata, aż do procesu Tatarników nie było, żeby kogoś zamykano, inwigilację, przeruchami?**

**Zbigniew Skoczylas:** To znaczy było zamykanie, na przykład jak nasi przyjaciele łącznie z moim bratem poszli sobie na lewo na wagę, gdzie zlecieli z Wysokiej, z gigantyczną lawiną. Też cudem boskim, bo tam Staszek Worwa, Adam, Jasiu Paland, Maryna Lechowska i Hanka, późniejsza żona Adama, całym zespołem spadli do samego dołu do doliny. No i tak szczęśliwie to poszło, że ponieważ najwyżej był Paland z Adamem, to jak ta cała lawina jadąc na dół zbiła się w żlebie zanim wyleciała, to tył lawiny stanął. I Adam z Palandem wyskoczyli wtedy z tego wszystkiego, po prostu zostali. Natomiast Staszek Worwa z dziewczynami poleciał do samego dołu, dziewczyny wbiło pod śnieg, ale byli związani, a Stasiu Worwa został na górze. Z tym, że miał wywalony staw biodrowy z przemieszczeniem zupełnym. No i chłopcy zeszli, po linach odkopali dziewczyny, Maryna miała ciężki wstrząs mózgu, Hanka miała złamaną łapę. Paland został tam na miejscu przy tych ofiarach, a Adam pognął na dół do Szyrckiego, żeby ściągnąć zachrankę, żeby ich zabrali. Tam się też dantejskie sceny na tym lawinisku rozgrywały, bo w pewnym momencie lawina oświadczyła, że ją to nie interesuje, ona idzie do kina. No więc Janek ją tam jakoś próbował, Hanka też tam miała jakieś perturbacje, Staszek bez przerwy wrzeszczał, trzymajcie obie dziewczyny, trzymajcie dziewczyny ode mnie z daleka, bo mi tę nogę urwą. No i wtedy ich zapudłowali na Montelupich, ale po dwóch dniach całe towarzystwo wypuszczono, przy czym oni bezczelnie twierdzili, że oni nigdzie nie szli na żadną wagę, na nic, tylko oni szli do Buczynowej. A jakoś w tej kurniawie tak im wyszło, że się znaleźli tam, no a rozeznac, to znowu było tak, pamiętam jak u Dziuni Łapińskiej, dowódca Zakopiańskiego odcinka „WOP”, skarżył się pani Wandzie, że: „Pani Wando, no, ja już nie wiem co robić. Prosi się, mówi się, strzela się, a oni dalej chodzą”.

**Anna Pietraszek: Ale było dużo przypadków takich, no nie wiem, kaperowania ludzi, dlatego że nie dostawali paszportów, że nie mogli wyjeżdżać w Alpy albo na wyprawy.**

**Zbigniew Skoczylas:** Wyjeżdżać to nikt nie mógł, przez lata 50. to można sobie było wybić młotkiem z głowy, kogo miano kaperować i do czego. Kaperowano może na dole do zupełnie innych rzeczy, ale w górach nie kaperowano nikogo. Wyjazdy tak na dobrą sprawę zaczęły się w 1956–1957 roku, pierwszejazdy. W 1955 roku pierwszy wyjazd słowacki, bo Słowacja przecież była ziemią obiecaną, a w 1957–1958 roku były pierwszejazdy alpejskie. No i to właściwie było załatwiane via klub wysokogórski, typowano uczestników wyjazdów i muszę powiedzieć, że tu przekonania polityczne nie odgrywały żadnej roli. Ja byłem w takim zespole, który był w Alpach Berneńskich w 1958 roku. W składzie zespołu był Tadzio Nowicki, tak zwane Tajeno, który był drugim sekretarzem Wojewódzkiego Komitetu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Ale poza tym byli co najmniej ludzie obojętni wobec rzeczywistości, jeżeli nawet nie PRL-owskiej, jeżeli nawet nie zdecydowani jej przeciwnicy. Pamiętam jak dziś, bawiąc się tym wszystkim, Tadek był bardzo rozsądnym i fantastycznym człowiekiem. Postanowiliśmy założyć tak zwany zeszyt lojalności, co polegało na tym, że kupiliśmy zeszyt w kratkę i za każdą wypowiedź, że jak to w tym PRL-u jest zupełnie źle, to przy nazwisku tam wpisanym stawiano minus, a jak ktoś mówił, że w Szwajcarii jest źle, to stawiano plus. A potem na koniec pobytu mieliśmy dokonać podsumowania w centymetrach bieżących lojalności, bo minusy kasowały się z plusami i było wiadomo, że albo ci się podoba w Polsce, albo ci się podoba tylko w Szwaj-

carii. To co zostawało na tym. Więc ja tam miałem niezłe poprowadzone minusy polskie, bo nie kryłem negatywnych ocen polskiej rzeczywistości. Tak długo, dopóki pewnego dnia nie poszliśmy na taką, to było jeszcze przed tym, zanim zaczęliśmy się wspinać, nie było specjalnej pogody, poszliśmy taką drogą, czymś w rodzaju naszej Orlej Perci. To przecina całą ścianę Wetterhornu, taki gigantyczny trawers na przestrzeni chyba półtorej, dwóch kilometrów, po takich kozich półkach, miejscami umocnionych właśnie linami stalowymi i łańcuchami rozpiętymi na tym. Stamtąd wchodzi się już nad górny lodowiec grindelwaldzki i stamtąd trzeba zejść na lodowiec, przejść, przetraversować lodowiec i wyjść na sąsiednią ścianę, żeby zejść do Grindelwaldu. No i przychodzimy nad tę zerwę, nad lodowcem górnym grindelwaldzkim, patrzymy, jest tam chyba ze 200 metrów w dół pionowej ściany do lodowca i na tej ścianie są umocowane drewniane drabiny, zwykłe drewniane drabiny, jedna, druga, trzecia, dziesiąta i miejscami te drabiny są odległe od siebie w poziomie o 4–5 metrów, to wtedy to jest połączone taką stalową liną, i po której się trzymają te linki i przebijając nogami po prawie pionowej ścianie dochodzisz do tej drugiej drabiny, schodzisz, potem jest brzeźna szczelina, na lodowcu jest taka ogromna wana, do której jest znowu przymocowana lina, więc wpadasz w to błoto tej szczeliny brzeźnej, po tej linie wyfazisz na lodowiec, przechodzisz w poprzek lodowiec i tu się zaczyna. Bo widzisz wyraźnie, że są takie pobite koły stalowe w ścianę, rozpięta między lina i to się wszystko w pewnym momencie w środku ściany kończy. No i teraz jest perspektywa, to jest chyba ze 6 godzin z powrotem tą samą drogą, więc postanowiliśmy dojść do końca i zobaczyć co to jest. Dochodzimy tam, a tam jest tunel, jaskinia, na wylot przez takie żebro, przechodzimy tę jaskinię i od wyjścia z tej jaskini cały system schodów, chyba z 300–400 metrów sprowadza się na podwórko szwajcarskiego chłopa, który siedzi przy furtce i pobiera opłatę 10 franków szwajcarskich. No więc ja mówię, że przecież to jest skandal, 10 franków to były straszne pieniądze, myśmy mieli małe pieniążki, że tam powinna być na górze tablica, a Szwajcar mówił, tam nie trzeba tablicy, na ogół to się tędy idzie do góry i wszyscy wiedzą, a żeby się tam... Więc od tej furtki do kempingu, na którym myśmy mieszkali, ja tak kłamię Szwajcarów, Szwajcarię i panujące tutaj stosunki, że wyrobiłem chyba z półtorej metra krzyżyków i mogę się do końca używać na rzeczywistości polskiej i nikomu to... Tadek najlepiej się bawił w tym wszystkim, jak myśmy to zakładali i nigdy nie mieliśmy żadnych problemów. Tam zresztą potem już w końcowej fazie pobytu, bo potem przenieśliśmy się do środka, tam na Concordia Place to jest centrum masywu Berna-Roberlandu, fantastyczne miejsce, olbrzymi taki zwornik trzech spływających lodowców, Jungfraufrirn, Grünhornfrirn i nie pamiętam trzecie, co to było, Aletschfrirn. I stamtąd wypływa ten największy lodowiec alpejski, Aletschgletscher. Więc tam myśmy sobie działali, ja zresztą przy wyjściu na Möncha skręciłem nogę, co mi bardzo przeszkadzało, bo mi ta noga puchła i bolała. I nawet tam raz polegiwałem, tam zresztą Walowie, obaj bracia bliźniacy, bardzo oszczędzali, oni już oszczędzali przesadnie, mianowicie doszli do wniosku, że nie będą kupować żadnych specyfików chroniących skórę i wargi, tylko polska Nivea musi na to wszystko wystarczyć. I pod Aletschhornem, pod samym szczytem jest bariera szaraków. No i oni jak schodzili, trochę z nią zabałaganili i przytrzymało ich na całej, od 11:00 do 5:00 po południu pod tą barierą, a słończko tam niezłe operował. Przyszli późno w nocy, ja na nich czekałem. Jeszcze nawet im kolację zrobiłem, pytam się czy coś, „Nie, nie, nic, wszystko jest w porządku”. No, dobrze. Budzę się rano, spaliśmy w takich boksach czteroosobowych, bo tam nie było pokoju, tylko był taki korytarzyk, do którego przylegały, na różnych zresztą poziomach, bo to takie schronisko rozbudowywane przez, teraz tam stoi podobno wspaniały hotel, ale wtedy to było takie schronisko rozbudowywane metodą pączkowania. Otwieram oczy, ktoś mi negra położył w nocy koło mnie, no wargi takie, wiesz, szturcham Zbyszka Rubinowskiego, który spał koło mnie, mówię: „Zbyszek, popatrz kogo nam położyli”. On też tak patrzy, a to się zaczyna ruszać i zaczyna mu bełkać coś po polsku. I ja się zorientuję, że to jest Antek Wallach, który rzeczywiście

spał koło mnie, którego słońce tak potwornie spaliło, że zapuchł na taką mordę. No więc skończyło się na tym, żeśmy ich zawinęli w ręczniki i oni w takich czafarach mużułmańskich musieli się udać szybciotko na Jungfrauoch i kolejką zjechać na dół, bo nie było siły i właściwie do końca już nie chodzili. A myśmy zeszli stamtąd potem do Grindelwaldu, no i wtedy się zaczęła ta awantura w północnej ścianie Eigeru. Tam wszedł zespół niemiecki, włoski, Longi i Corti i zespół niemiecki, to byli młodzi chłopcy, nie pamiętam nazwisk. No i oczywiście z bliżej nieznanых powodów, bo to się nie udało, nawet Corti nie potrafił udzielić wyjaśnienia dlaczego oni poputali drogę. Droga była zresztą dość znana wszystkim, klasyczna, przez trzy pola lodowe do takiej turni, która się nazywała Żelazko, w tej turni Żelazko wielki trawers nazywany Trawerssem Bogów, z kolei tak zwanego pająka, takich formacji potrzaskanych rys skalnych, no i stamtąd rysy wyjściowe i na górę. A oni prosto od Żelazka poszli do góry. No i to zaczęło gdzieś, najpierw poleciał Longi, rozbił się, ale chyba nie rozbił się tak bardzo, żeby nie mógł iść dalej, bo jeszcze na zdjęciach zresztą robionych z samolotu było widać, że stał i ruszał się zupełnie dobrze. I oni go zostawili. Poszli do góry we trójkę, w tym pająku doszli, dotrawersowali górę do pająka, wyczyn dużej klasy. I w tym pająku poleciał Corti. I znowu Cortiego Niemcy zostawili. A trwało to sześć dni. I w tego piątego dnia, czwartego dnia, tam był wtedy Max Eiselein i jeszcze taki Szwajcar i był taki chłopak, monachijski, Niemiec. I myśmy próbowali namówić Szwajcarów, żeby spróbować jakieś akcje ratownicze. No i oni powiedzieli, że nie ma mowy o żadnej akcji ratowniczej. Wtedy Graminger był tylko jeden w Monachium. Zresztą twórcą Gramingera. I ten chłopak z Monachium powiedział, że on był samochodem, że on pojedzie do Monachium i ściągnie monachijszczyków z Gramingerem tutaj. I piątego dnia to był ten dzień, kiedy oni biwakowali tam w pająku, rano. Przyjechali monachijszczyki z Gramingerem, twórcą tego zestawu ratowniczego. No i myśmy się do tego w piątkę dołączyli i przez tak zwaną północną flankę, bo to nie jest ściana, to jest takie bardzo strome zbocze, zalodzone w górze i zaśnieżone, powędrowaliśmy na szczyt Eigeru. Jeszcześmy mieli taką na... Kolejką myśmy podjechali i pod Eiger-Gletscher, tam jest na górze ostatnia stacja, tam nam dali taki pokój, żeśmy zbędny sprzęt złożyli, ja tam ten sprzęt układałem, wypadłem, a wszyscy już poszli. No i ja też zakładam plecak, a ten zawiadowca stacji mówi: „Tak, tak tak, ale tu jeszcze koledzy zostawili i prosili, żebyś to zabrał”. Ja patrzę, a ja mam, oni mi zostawili całą windę do Gramingera, wiesz, no kurczę, to waży chyba ze 20 kilo. Ja mam plecak, założyłem to na plecy, myślałem, że padnę. No miałem chyba z 15 kilogramów swojego, ta winda. I wszyscy lecą do góry, więc ja też. Ale został Zbyszek Rubinowski, się zatrzymał z Rogowskim, i tak żeśmy tę windę we trójkę dygowali do góry. Ale to nam jednak zajęło, bośmy na górze byli koło, wyszliśmy koło godziny 11:00, a na górze byliśmy koło 5:00–6:00. My we trójkę spaliśmy, we czwórkę, bo jeszcze Karol Jakubowski się do nas dołączył, rozkopaliśmy samą piramidkę śnieżną na wierzchołku i tam myśmy sobie zrobili takie gniazdo i tam myśmy we czwórkę się położyli spać, a reszta spała w takich jamach wygrzebanych w nawisie. Nawis był stopiony, tylko taka stroma ścianka po nim została, przy grani i tam sobie wszyscy wygrzebali takie jamki i tam spali. Rano założyliśmy stanowisko i Hellspar, taki monachijski członek [Wehrmacht] zresztą podwodniak niemiecki, pływał na U-Bootach w czasie wojny, pojechał na dół i dojechał do Kortiego. Wtedy się okazało, że Niemców przy Kortim nie ma, bo oni poprzedniego dnia rano postanowili iść do góry i poszli. No i oczywiście zaginęli, znaleźli ich w następnym roku, wyszli na grani, nikt nie jest w stanie powiedzieć, nie znali się, bo najprostsza droga, no to granią zupełnie łatwo, bez trudności na wierzchołek i zachodnią flankę. A oni zaczęli schodzić na południe, no i się zerwali gdzieś i poleciali obaj, i spadli do samej podstawy tej ściany. Tam jest rzeczywiście taka półta, która przecina całą południową ścianę Eigeru, nazywa się Kalifien i tą ścianą można zejść do Dolnego tego, ale to nad tym jest poderwane i od dołu jest podcięte, i oni stamtąd poleciali, zginęli. No i wtedy Kelspart sobie założył Kortiego na plecy i zaczynamy ich wyciągać, i roz-

leciała się winda. Puściły wszystkie, jakiś defekt w materiale, puściły wszystkie tryby, wiesz, i cała ta wążka na korbę, to wszystko się rozleciało. No więc zdecydowaliśmy, że będziemy ich ręcznie ciągnąć, to znaczy będziemy burłaczyc, ciągnąc za tą linę stalową. Prędziutko oczyściliśmy z 10 metrów tej grani, tak, że tam pod granią taka ścieżeczka powstała i na tej ścieżeczce w ośmiu chłopca na zmianę ciągnęliśmy na hej, ruk, hej, ruk, hej, ruk. Trwało to bardzo długo, aleśmy ich wyciągnęli. Ale znowu zrobiło się bardzo późno, bo to już była godzina 5:00, a co gorsza znowu szło załamanie pogody. No więc zdecydowaliśmy, że tu już cudów teraz nie ma, nie zdążymy, bo teraz znowu na rękach trzeba go spuszczać na dół, następnego kandydata na ratownika. No i podobnie ciągnąc do góry. Zaczęło walić piorunami, więc cała ta lina zaczęła działać świetnie jako odgromnik i prowadzący akcję, taki Szwajcar Friedli, zdecydował, że wobec tego my zniesiemy na dół, bo Corti nie był, Longi nie był, Corti nie był w stanie sam się poruszać, że go zwieziemy na dół. No a następna ekipa następnego dnia powtórzy to wszystko w tamtą stronę. No ale to się potwornie przeciągnęło, bo to zwożenie okazało się bardzo kłopotliwe, tam zresztą mało się wszyscy nie zabili, bo w pewnym momencie poleciał właśnie Tadek Nowicki, z Krzysiem Berbeką polecieli. Na całe szczęście zaplątali się w liny wszystkich pozostałych, no i to ich uratowało. Poza tym, że gdzieś koło 10:00 wieczór, ciemno już było zupełnie, wybraliśmy jakieś takie miejsce, gdzie się cały ten zespół, który liczył w sumie, aha, bo tam jeszcze doszedł Cachin, ten od Raków i Haków, taki Włoch, Lionel Theray, to wtedy była postać numer jeden alpinizmu francuskiego, jeszcze tam paru chłopaków doszło, w sumie ze 20 osób, no i całym tym 20-osobowym zespołem biwakowaliśmy tam. A myśmy się jeszcze utyrali zdrowo, dlatego że tylko my mieliśmy 80-tki liny zjazdowe, tak że myśmy tą asekurowali te sanki razem z tymi, którzy je ciągnęli, i potem trzeba było zbiegać szybko, prawda, na całą długość i znowu, i znowu, i znowu. No więc byliśmy trochę skonani. Przesiedzieliśmy i przedrzemaliśmy, płachty mieliśmy. Ja zresztą wtedy paliłem, siedziałem w płachcie ze Zbyszkiem Rubinowskim, w pewnym momencie mówię: że: „Zbyszek nie ma rady, ja muszę zapalić”. No więc Zbyszek mówi, no to wytniemy taką dziurkę w tej płachcie i przez tą dziurkę, no ale jak zapaliłem tego papierosa, to Zbyszek mało nie umarł natychmiast, więc skończyło się palenie. Rano byliśmy już wszyscy dobrze szkotulowani. Pamiętam taki trawers po lodzie takim odchylonym, trochę z ekspozycji. Chłopcy ciągną te sanie, a my stoimy ze Zbyszkiem Rubinowskim, mamy haki wbite, tam był parszywy teren, takie dachówki, więc w te dachówki myśmy takie długie haki wbili. Ja tak patrzę, to on mówi, to taka długa igła była i ta igła tak sprężynuje, i tak z niej woda kapie. Ja patrzę na Zbyszka, u niego jest to samo, jak oni polecą, to co robią? Zresztą ja puszczam. To nie było siły przecież. Aha, bo jeszcze wszyscy szli i tych lin się trzymali. No ale to był ostatni taki trudny odcinek i wtedy właśnie już żeśmy się spotkali z ekipą idącą z dołu. Ale wtedy się okazało, pogoda się trochę poprawiła, tam był taki lotnik, ten który potem z Adamem latał, nie pamiętam nazwiska, na [niezrozumiałe, 00:59:07], ten sam pilot. On latał przy ścianie i on wtedy robił oblot rano i tam obejrzał to stanowisko, na którym stał Longi, na którym on tam biwakował i zobaczył, że on wisi na linie pod tym stanowiskiem. Albo w nocy go lawina strąciła, albo piorun, wiesz, jedno z dwojga. No więc już nie było co robić, próba motania kolejnej akcji tylko po ciało. Chyba to dość długo trwało, dopiero go w następnym roku stamtąd wyciągnął. Ja z tą opuchniętą nogą, cały czas było dobrze, na ostatnich 10 metrach myślałem, że umrę, tak mnie to zaczęło boleć. Więc wszyscy zdecydowali, że w ramach oszczędności nie pojedziemy kolejką, że ja zabiorę wszystkie plecaki i zjadę kolejką, a oni pójdą sobie piechotą na dół. No i ja tam stałem na tym peroniku, miałem ten tłum plecaków i z kolejki, która jechała do góry wysypał się ogromny tłum Amerykanów i Japończyków. Jak zobaczyli takiego człowieka gór, to cały tłum aparatów zaczął mnie ze wszystkich stron obfotografowywać. Jeszcze żądano, żeby się ustawiał, żeby ja się ustawiał, więc ja tam parę bluzgów rzuciłem po polsku, ale nic nie pomogło. Ale muszę powiedzieć, że bardzo ładnie zachował się właściciel

tego ogromnego hotelu na Kleine Scheidegg, Fritz von Allmen, hrabia, i zaprosił nas na obiad do hotelu. Ale to gdzieś dwa dni później pojechaliśmy na górę, ale ja pamiętam, że miałem podarte potwornie portki. Właśnie gdzieś tam jakoś mi się cały tył rozpruł, a drugie spodnie długie, które miałem też wysiadły. Wobec tego Adam mi pożyczył szorty w kolorze takim jasno różowym. No i do tego wytwornego super hotelu ja wkroczyłem w tych szortach. Czekał na nas Fritz von Allmen, który mu ani brew nie drgnęła. Wprowadził nas do wspaniałej sali bankietowej. No tam się na nas rzucił tłum kelnerów i pikolaków, bo to obsługa każdego stolika. To był jeden godny pan kelner i towarzyszący mu pikolak. Podano jakieś wspaniałe dania, jedno, drugie, trzecie, potem fantastyczny deser. No i podziękowaliśmy panu Fritz von Allmen za to wszystko i wynieśliśmy się stamtąd. A wracając do Karola Jakubowskiego, to było ich dwóch braci, bo był Karol i Zdzisiek. Tak różni, że my z Adamem nie byliśmy podobni do siebie i fizycznie, i charakterologicznie. No ale bracia Jakubowscy to już było coś zupełnie niesamowitego. W każdym razie byli razem na wyprawie w Kaukaz, jednej z pierwszych. Karol był zawsze miłośnikiem przyrody i zwierząt. No i jak dostał osła, bo szli pod Uszbę, żeby osiołek mu niósł ten, no to oczywiście Karol dbał o tego osiołka, karmił go tam, zrywał mu trawkę, a sam niósł plecak. No i tak się zmachał tym wszystkim, że potem ledwo, ledwo przez tą Uszbę laźł. Na co właśnie Zdzisiek piorunował, że... A jeszcze sobie przypiął na plecak, znalazł takie ogromne poroże koziorożca. I Zdzisiek przeklinał, że: „mój brat, ten debil, nie dość, że osła żałuje, sam plecak niesie, to sobie jeszcze rogi przypiął do plecaka, swoich mu mało, to innych szuka”. Więc takie to były piękne historie.